**Janusz Noniewicz /** Wyniesione

Właśnie się wnosiliśmy, kiedy oni się wyprowadzali. Nie tylko my zresztą. Wszyscy się wnosili. Ci pod 131 i pod 132, i my pod 130. A oni – wręcz przeciwnie.

To było dziwne. Nowy blok. Nowe osiedle. Wszyscy się zagnieżdżają, urządzają, a oni nie. Oni się wyprowadzają. Wyprowadzają, zanim jeszcze na dobre zamieszkali.

Mijaliśmy się wtedy często na wąskim i długim korytarzu na ósmym piętrze naszego bloku. Do nas nieustannie coś wnoszono: a to kanapę, a to stół, a to kredens. Od nich zaś wynoszono: a to fotele, a to biblioteczkę, a to komplet wypoczynkowy. Ruch w tę, ruch we w tę. Patrzyliśmy na nich ze zdumieniem. Bo co oni tak opuszczają, kiedy wszyscy zasiedlają? Dokąd oni tak? Co? Nie podoba im się tu, czy jak? Ten ich ruch pod prąd wydawał mi się jakiś głupi i niesprawiedliwy. Przeciskaliśmy się w tym korytarzu, nieustannie sobie i o siebie zawadzając. Dorośli bez reszty w ten ruch zaangażowani, my – trochę w nim zagubieni.

On i ja. Nie znaliśmy się. Ale patrzyliśmy na siebie. Z ciekawością. Z zainteresowaniem. Bo pewnie bylibyśmy kolegami, kumplami, kto wie, może przyjaciółmi. Zachodzilibyśmy do siebie albo spotykali pod blokiem. Pożyczalibyśmy coś od siebie albo się czymś wymieniali. Pewnie byśmy się kłócili, może nawet obrażali. A potem znów spędzali czas razem, jak gdyby nigdy nic.

Tymczasem on towarzyszył przy wynoszeniu rzeczy, a ja przy wnoszeniu. Czasem zaklęliśmy przy tym pod nosem równocześnie, czasem się zaśmialiśmy. A czasem zmęczeni lub zniechęceni usiedliśmy na podłodze w korytarzu naprzeciwko siebie oparci o ścianę. Nie pamiętam, czy coś do siebie mówiliśmy. Raczej niewiele. Nie było czasu, okazji, możliwości. Może nie starczyło nam odwagi?

A kiedy u nich już było pusto, a u nas pełno; kiedy od nich wszystko już zostało wyniesione, a do nas wniesione, i na korytarzu zapanował spokój i cisza, wtedy spotkaliśmy się sam na sam. Ja jeszcze nie zdążyłem otworzyć naszych drzwi, on już zamknął te właściwie już nie ich. – Zaczekaj – powiedział. Pogrzebał chwilę w chlebaku, który miał przewieszony przez ramię, wyciągnął mały przedmiot i wcisnął mi do ręki. – Na pamiątkę? – nie wiem dlaczego wydawało mi się, że zapytał. I dodał: – Głupie, co?

Od czterdziestu z górą lat mieszkamy tu wszyscy bez większych zmian. Ot, ktoś umiera, ktoś się rodzi, ale wszystko między swymi. I tam pod 131, i tam pod 132, i u mnie, pod 130. A pod 133 nikt nigdy na dłużej nie zamieszkał. Tak, jakby to mieszkanie nie chciało przyjąć nowych lokatorów.

Ale pytasz, dlaczego zbieram te nici nawleczone na szpulki i papierki? Nie wiem, czasami wydaje mi się, że to pamiątki po tych, z którymi się w życiu rozminąłem. A szkoda.